



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, placąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Miss Multon, Dramat w trzech aktach przez Eugeniusza Mus i Adolfa Belot. — Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Korespondencja z Paryża. — Wiadomości bibliograficzne. — Doniesienia literackie. — Symbolika kwiatów i roślin.

## MISS MULTON.

### DRAMAT W TRZECH AKTACH

PRZEZ

Eugeniusza Mus i Adolfa Belot.

(Dalszy ciąg.)

### Akt trzeci.

Dekoracja taż sama co i w dwóch pierwszych aktach.

Scena 1.

Paweł. — Matylda.

(Paweł stoi w głębi sceny na prawo i spogląda na ogród, Matylda wchodzi na scenę i spostrzega go.)

MATYLDA. Co tu robisz Pawełku?

PAWEŁ. Czekam na Joasię która poszła do miss Multon. Zdaje się że jej lepiej. Spała trochę i to jej pomogło.

MATYLDA (siadając w fotelu na prawo). O czym rozmawialiście z nią kiedy zemdląca?

PAWEŁ (zbliżając się). Mówiliśmy o matce naszej.

MATYLDA. Myślałam, że rozmawiacie o matce waszej tylko pomiędzy sobą, a nie przy obcych.

PAWEŁ. To prawda. Ależ pan Belin mówił nam, że miss Multon nie jest obcą, i że przy niej można o wszystkim mówić.

MATYLDA. Ha, to pan Belin tak wam radził.

PAWEŁ. Tak jest... ale źle się stało. Kiedyśmy opowiadali naszą wycieczkę na cmentarz, to bardzo poruszyło miss Multon... Uważałam to zaraz.

MATYLDA. Jednakże nie w tej chwili zemdląca.

PAWEŁ. Nie, cokolwiek później! Byliśmy z nią sami i rozmawialiśmy jeszcze o naszej matce. (Obejmuje szyję Matyldy.) Przebacz droga mamo, ale pamięć nasza dla niej, nie przeszkadza nam kochać cię także całym sercem.

MATYLDA. Wiem o tem Pawełku. Mów dalej... Powiedziałeś, żeście mówili o waszej matce, kiedy...

PAWEŁ. Nagle zerwała się i zawołała: „Dajcie mi pokój, dość już!” I upadła.

MATYLDA (do siebie). Dziwna rzecz!

PAWEŁ. Zresztą papa tłumaczy wybornie co się stało.

MATYLDA. Wasz ojciec! a więc mówiliście z ojcem waszym o miss Multon?

PAWEŁ. Tak jest, wypytywał nas tak jak ty mamo co nam mówiła, i wytłumaczył nam gwałtowne jej wzruszenie.

MATYLDA. W jakim sposób? jak?

PAWEŁ. Zdaje się że miss Multon, straciła tak jak my, przez wypadek na kolei żelaznej, osobę ukochaną, i żeśmy rozbudzili mimowoli jej boleść.

MATYLDA. Ha to inna rzecz! (do siebie) Ale jakże Maurycy wie o tem?... chyba że mu Belin powiedział... Nie ma w tem nic niepodobnego... jam szalona! (spozstrzega Belina w głębi sceny.) Otóż i on, zaraz mi to wszystko wytłumaczy.

PAWEŁ. Mamo, Joasia nie powracał czy więc mogę iść do miss Multon?

MATYLDA. Idź moje dziecię — idź.

(Prowadzi go do drzwi w głębi. Belin tymczasem wchodzi od lewej strony.)

### Scena 2.

Matylda — Belin.

BELIN (nie widząc Matyldy, chce usiąść na fotelu po prawej ręce. Zamyka książkę którą trzyma). Sam nie wiem doprawdy co czytam, zgubiłem już moją grecką, nie długo zgubię i łacinę. Przekleste zemdleńcie!

MATYLDA (przystępując pomału). Panie Belin.

BELIN (przestraszony). He... cóż to?... pani!

MATYLDA. Pan widzę ukrywasz coś przedemną — masz jakieś tajemnice...

BELIN (na stronie). Tajemnice, o nieba! (głośno) ależ, pani...

MATYLDA. Należało przecież uprzedzić mnie, że nie trzeba mówić przy miss Multon o pewnych wypadkach, które mogą poruszyć bolesne wspomnienia.

BELIN. Jakie wypadki? jakie wspomnienia? (na stronie) Aż mnie czarki przechodzą.

MATYLDA. Wszakże Miss Multon straciła w skutek wypadku na kolei żelaznej, osobą drogą sercu.

BELIN. Ależ... ja nie wiedziałem o tem... ja...

MATYLDA (zdziwiona). Nie wiedziałeś pan... to niepodobna... pan jeden mógłś powiedzieć o tem...

BELIN. Ja! nigdy! nigdy!

MATYLDA. Jakto, więc to nie od pana, mój mąż wie... I od kogóż więc? Czemuż to mówił dzieciom?

BELIN. Pan Delatour?

MATYLDA. Tak jest...

BELIN (na stronie). Mój Boże! co tu począć! tracę głowę ze wszystkim (głośno). Pan Delatour chciał zapewne wytłumaczyć... dzieci są niezmiernie ciekawe... zarzucają pytaniami... żeby więc się ich pozbyć, daje się pierwszą lepszą odpowiedź...

MATYLDA. Joasia i Pawełek o nic nie pytali... ojciec sam z siebie dawał im pytania... a więc i on uważał tak jak ja, że wzruszenie miss Multon było szczególne, niepojęte, że zdziwi dzieci, że zatem potrzeba uprzedzić ich pytania.

BELIN (na stronie). Pali jej się w głowie, o mój Boże! i mnie się także pali, stoję... jak na żarzących węglach. (Ociera czoło i siada.)

MATYLDA (zbliżając się do Belina). No, panie Belin, wyznaj mi co wiesz o twojej protegowanej?

BELIN. Mojej protegowanej!... Ależ pani, miss Multon nie jest moją protegowaną... Kiedy pisałem do doktora Osborne aby nam wynalazł guwernantkę, nie wiedziałem kogo nam przysłać.

MATYLDA. Jakto, i pan nie wie o niej?

BELIN. Nic, co się zowie nic. (na stronie) Jak ja kłamie — mój Boże! w moim wieku!

MATYLDA. Otóż ja domyślam się czegoś.

BELIN (na stronie). Wszystko przepadło!

MATYLDA. Tak jest, tyczy się to drobnostek, które zrazu uszły mojej uwagi, a teraz stają mi jasno przed oczyma. Czyś pan uważał, że ona kocha Joasię i Pawełkę w sposób dziwny, zupełnie przesadzony.

BELIN. Ależ nie... ja...

MATYLDA. A więc uważaj pan... a potem, to wzruszenie kiedy mówiono o ich matce... to zemdleńcie... tak, nie mył się, jestem pewna. Miss Multon zapewne żyła w bliskich stosunkach z pierwszą żoną pana Delatour, może była przy niej w ostatnich chwilach, może jej przyrzekła iż się zbliży do dzieci i że czuwać będzie nad niemi.

BELIN (na stronie oddychając swobodnie). Już wolę to podejrzenie.

MATYLDA (wracając do Belina). Lecz nie... to nie tak jeszcze. Osoba o której mówimy, zginęła w mgnieniu oka, starta na miążgę; pan sam nie poznałeś jej... (Przystępuje żywo jakby nową uderzoną myślą). Mów pan, jak spisano akt zejścia?

BELIN (gwałtownie poruszony). Jak?... pytasz pani jak? rzecz prosta... bardzo prosta, najprościejsza w świecie.

MATYLDA. Ale czemuż pan tak się mięszasz?



BELIN. Co? ja się mięszam? ja... Nigdy w życiu nie byłem spokojniejszy, czegoż mam się mięszac? czego?

MATYLDA. Muszę się widzieć z Maurycym.

LUDWIKA (która od chwili ustawiała kwiaty na kominię). Pani nie wie że pan wyjechał z domu?

MATYLDA. Wyjechał? a to kiedy?

LUDWIKA. Już dosyć dawno — zaraz po wypadku miss Multon.

MATYLDA. Mówił jednak że dziś nie wyjedzie... Czy pan wiesz gdzie pojechał, panie Belin?

LUDWIKA. Słyszałam jak wołał na stangreta: ulica Taitbout N. 14.

MATYLDA. To do notariusza! Ależ ukończył z nim interesa przed trzema dniami.

LUDWIKA (patrzac ku lewej stronie ogrodu). Otóż i miss Multon z dziećmi. (Ochodzi).

MATYLDA (patrzy na ogród, a potem zbliża się do Belina). Panie Belin, tu się dzieją rzeczy nadzwyczajne, pan wiesz wszystko, a mnie nic nie mówisz. Otóż ja się dowiem! muszę się dowiedzieć.

(Przechodzi koło stolika i przygląda się miss Multon, która wchodzi przez drzwi w głębi, od strony lewej).

### Scena 3.

Matylda. — Belin. — Fernanda. — Joanna. — Paweł.

FERNANDA (do dzieci które ją podpierają). Już nie potrzebujecie mnie wspierać — jam już silna.

PAWEŁ. To nic... oprzeź się pani dobrze, zaprowadzimy cię do fotelu.

FERNANDA (siadając na fotelu po prawej stronie). Dziękuję wam, już wszystko przeszło... żal mi szczerze, iż takie sprawiłam zamieszanie.

BELIN (na stronie). Prawda, że zamieszanie! (Joanna opuszcza Fernandę, przechodzi przez scenę, zbliża się na palcach do Matyldy i bierze ją na bok; przez ten czas Fernanda rozmawia z Pawłem).

JOANNA (do Matyldy). Wiesz co mam, że miss Multon daleko jest młodsza, niż się wydaje... O, nierównie młodsza. Przed chwilą w jej pokoju, podawałam ocet do wachania, zbliżyłam twarz do jej twarzy, i to mnie uderzyło.

MATYLDA. A!

JOANNA. Tak jest... otworzyła oczy i spojrzała na mnie. W tej chwili, zdało mi się, że nie może mieć więcej jak lat trzydzieści.

MATYLDA. Lat trzydzieści.

LUDWIKA (wchodząc od lewej strony w głębi). Jubiler u którego pani była wczora, oczekuje na jej rozkazy.

JOANNA (biegnąc w głąb). To zapewne moje kolczyki.

PAWEŁ (biegnąc za siostrą). I ja potrzebny do rady — ty wiesz...

MATYLDA (idąc za dziećmi). Niepotrzebny jesteś Pawełku — zostań lepiej z miss Multon.

PAWEŁ. Tak, gotowicie wybrać co takiego, co mi nie przypadnie do gustu.

FERNANDA. Idź, idź... ja mogę zostać sama.

PAWEŁ. Zresztą pan Belin będzie z panią.

BELIN. Tak jest.

PAWEŁ (idzie za Joanną). No, chodź że mam.

MATYLDA (na stronie poglądając na Fernandę). Chce zostać z nim sama. Dla czego? (wychodzi drzwiami po lewej stronie).

### Scena 4.

Fernanda — Belin.

BELIN. A co, czy nie mówiłem? czy nie powtarzałem odkąd pani tu jesteś?

FERNANDA. I na cóż te wyrzuty? Ja sama stokroć więcej wyrzucam sobie!.. Złamana jestem, pokonana... te ciągłe wysilenia, aby nie wybuchnąć, aby zatrzymać łzy, te bezustanne pociski co tak mi krwawią serce, zabiły moją wolę! Oh! nie powinnam była wracać!

BELIN. Dopieroś to pani spostrzegła!

FERNANDA. Nie przewidywałam, nie mogłam przewidzieć... O! te nieszczęśliwe zwierzenia, ta pogarda, owa nienawiść... Ja nie mogę nosić ich dłużej. Nie mogę już panować nad sobą!

BELIN. Ciszzej... ciszej...

FERNANDA. Odjadę ztąd... natychmiast... Wymyśl

pan jaką przyczynę, jakiś pozór... ja nie zdolna jestem nawet do myślenia.

BELIN. Tam do licha! widzę to dobrze. Cóż pani ze mnie zrobiła! Sam siebie nie poznaję... O, kobiety... kobiety... a ja głupi żałowałem, że się nie ożenił.

FERNANDA. Myśl pan... myśl, czas nagli... wszak sam chciałeś tego, nie prawdaż! No i cóż... tylko prędko!

BELIN. Zastanów się pani, na imię Boże... zastanów się! Odjechać tak nagle, bez przygotowania, dziś szczególnie, tem samem usprawiedliwiłabyś wszystkie domysły, zbudzone tą nagłą chorobą. Nie, nie, to niepodobna. Zgubiliśmy wszystko a nie nie ocalili.

FERNANDA. Pomyśl pan tylko... znajdź jakikolwiek powód, wymyśl bajkę... jakiś list, ważny interes wzywa mnie do Anglii... Napisz pan do doktora Osborne, rób co chcesz, ale spiesz się... zaklinam..

BELIN. Kilka dni tylko, błagam o kilka dni...

FERNANDA. A więc nie opuszczaj mnie pan... nie zostawiaj mnie z nią... sam na sam. Moje siły już wyczerpane.

BELIN. Chwilę tylko... niech że przynajmniej zbiorę myśli... może się coś znajdzie... Przy pani tracę głowę... Trochę odwagi, spokojności!... jeszcze ostatnie wysilenie... Zaraz napiszę do doktora (na stronie, wychodząc przez drzwi w głębi). Ktoby powiedział, że ja teraz muszę ją zatrzymywać!

### Scena 5.

Fernanda — potem Joanna i Paweł.

FERNANDA (siadając w fotelu na prawo). Poddaj się grzesznico! I mogłażem myśleć, mogłażem się spodziewać... któż przebacza? kto? (spostzegając Pawła i Joannę w ogrodzie). O tak, oni... przebaczyliby może, łzy moje zmiękczyłyby ich... Czegoż potrzeba dzieciom?... Aby je kochano... Nie, nie, osusz łzy biedna matko... nie masz prawa zapłakać nawet przed niemi. (Joanna i Paweł wchodzą przez drzwi w głębi sceny i zatrzymują się na progu rozmawiając.)

PAWEŁ. A więc przypuścimy do spisku miss Multon?

JOANNA. Tak, trzeba jej wszystko powiedzieć. (Zbliżają się do Fernandy, i stają z obu stron fotelu.)

FERNANDA. I cóż, skończyliście wasze sprawunki?

JOANNA. Tak jest wszystkie, miss Multon.

PAWEŁ (pochylając się). I przyszliśmy pokazać pani najpiękniejszy z nich.

FERNANDA. Cóż to jest? medaljon?

JOANNA (kłękając u stóp Fernandy). I portret... czy podobny?

FERNANDA. Ha! to pani Delatour.

PAWEŁ. Tak, to mama. Wszak prawda że jej ślicznie w tej balowej sukni?

JOANNA. Przygotowaliśmy niespodziankę dla papy... przyszło nam do głowy, Pawełkowi i mnie, prosić naszą nauczycielkę rysunku, która wybornie pochwyca podobieństwo, żeby wymalowała miniaturę z fotografii mamy; ona sama kazała ją oprawić, i oto jubiler wsunął nam ją nieznacznie w rękę.

PAWEŁ. Nie prawdaż, jaka to dobra myśl? Wszystkie nasze pieniądze poszły na to.

JOANNA. Dziś jeszcze zawiesimy medaljon w mamy pokoju.

PAWEŁ. Jakbym ją słytał, skoro go zobaczy, zawołała: „Maurycy! Maurycy!... patrz co ja to dostałam od dzieci naszych!... Czy widzisz... to ta suknia, którą miałam w rocznicę naszego ślubu“. Papa mówił że ślicznie jej było w tej sukni.

FERNANDA. Serca wasze prawdziwie anielskie... Wtedy nawet gdy raniecie w najdroższy sposób, gotowałabym wołać: uderzajcie jeszcze... jeszcze aż do śmierci.

PAWEŁ. O mój Boże, czyżbyśmy znów obudzili jakie smutne wspomnienie?

JOANNA. Czyśmy pani sprawili przykrość — jak dziś rano?

FERNANDA. Jak rano?... nie... nie...

JOANNA. Może pani straciła dziecię.

FERNANDA. Straciłam... tak... straciłam... ale... proszę was, nie mówmy już o tem.

PAWEŁ. Przebac nam pani.

JOANNA. Nam tak przykro kiedy pani płacze, i to z naszej przyczyny.

FERNANDA. Nie, nie, pocieszcie się... bądźcie spokojne... (Tulać Joannę). Biedne dziecię — ona płacze... (Ociera jej oczy). (Do siebie). Łza... ja pragnęłam tylko łzy... O drogie skarby moje!

(Przyciska oboje do serca... Matylda ukazuje się z lewej strony, dzieci powstają żywo.)

(d. c. n.)

## KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

|                 |                     |
|-----------------|---------------------|
| Pani Girardin   | Irena de Chateaudun |
| Teofil Gautier  | Edgar de Meilhan    |
| Juliusz Sandeau | Rajmund de Villiers |
| Méry            | Roger de Monbert.   |

(Dalszy ciąg).

LIST XVI.

EDGAR DE MEILHAN-DO KSIĘCIA DE MONBERT.

Ulica św. Dominika w Paryżu.

Richeport 23 Czerwca 18...

Zasmuca mnie i niepokoi twoja łatwowierność, drogi Rogerze, dajesz bowiem wiarę nieprawdopodobnym do prawdy doniesieniom. Jeżeli panna Irena de Chateaudun, ukryła się przed tobą, to zapewne, domyśla się tego że ją będziesz poszukiwał. Musiała zatem użyć stosownych środków dla zachowania incognito, zmieniła zapewne nazwisko, zanim tyś zaczął używać stosownych kroków do poszukiwania. Wiadomości twoje zbliżają się nieco do zeznań świadków w procesach kryminalnych, którzy mówią:

— Dwa lata temu, o dziewiątej godzinie trzydziestu-trzech minutach i pięciu sekundach, w ciemny wieczór, spotkałem człowieka, którego rysów dopatrzyć nie mogłem, — miał on ubranie zielono oliwkowe.

Boję się bardzo żebyś nie pojechał do Bargundji napróżno, żebyś nie wpadł z groźną miną i błędnem spojrzeniem pomiędzy ludzi spokojnych, zdziwionych tą zupełnie niespodziewaną wizytą.

Pamiętaj kochany książę, że nie jesteś już w Indjach, tamtejsze zwyczaje nie są u nas na czasie, a jest w twym liście ustęp, który mi daje obawę jakiejś dzikiej napaści z twój strony. Mamy w Europie profesorów estetyki, języków słowiańskich i sanskryckiego, tańca i fechtowania, ale profesoriwie zazdrości nie są jeszcze nominowani. Niema katedry dla dzikich zwierząt w kolegium francuzkiem.

Jeżeli jesteś zazdrosnym, staraj się zaszkodzić w inny sposób swemu rywalowi; powiedz że stracił na akcjach, że dawniej pisał wiersze. Taka zemsta jest dozwoloną, ona cię przed sądem nie stawia. Mów co chcesz, ale tygrysy są na dziś złemi mistrzami—daleko wyżej stoją koty, i to ulaskawione.

Zalecam ci umiarkowanie, jakiego sam używałem. I ja byłem także do najwyższego stopnia rozjątrzony. Domyślasz się, że tu idzie o Ludwikę Guerin; bo źródłem każdej wściekłości mężczyzn jest kobieta!

Jest to roczyn podburzający wszystkie nasze namiętności, a złe szczególnie.

Pani Taverneau wyjechała do Rouen; szedłem do Ludwiki z sercem przepełnionem radością i nadzieją. Zastałem ją samą, sądziłem że ten wieczór będzie decydującym; bo zaczerwieniła się bardzo spostrzegłszy mnie.

Ale kto może liczyć na kobiety? Wczoraj była słodką, ufającą, wzruszoną; dziś zastałem ją zimną, surową, uzbrojoną od stóp do głowy, przemawiała tak jak gdyby mnie wcale nie znała.

Była jakby przekonaną, że nie między nami nie zaszło, tak że sam musiałem sobie przypominać wszystkie szczegóły naszej wycieczki do ruin, by wierzyć że nie jestem kto inny. Mam wad tysiące, ale nie jestem zarozumiały, rzadko sobie pochlebiam



i nie jestem skory do uwierzenia, że każda co spoj-  
rzy na mnie, jest rażona piorunem. Wszystkie spoj-  
rzenia, uśmiechy, zmiany głosu i słowa, tłumaczą  
sobie wiernie. Całe postępowanie Ludwiki, tak się  
dają wytłumaczyć: „Niemam nieprzewycięzonego  
wstrętu do Pana Edgara de Meihlan. Będąc pe-  
wnym tego, postępowałam stosownie; ale Ludwika  
wynała nie wiedzieć z kąd minę tak imponującą,  
królewską, sposób postępowania tak arystokratycz-  
ny, skromność tak wyniosłą i pogardliwą, że uczu-  
łem iż tylko siłą mogę od niej co uzyskać. Głowa  
moja pałała więc złością aniżeli uczuciem miłości;  
palce łamały się konwulsyjnie, paznokcie wpijały  
mi się w ręce, — byłem zupełnie gotowy do walki.  
Na szczęście przyszło mi na myśl, że takie gwałtowne  
objawy miłości były przewidziane kodexem, rów-  
nie jak większa część czynów romansowych lub he-  
roicznych. Oddaliłem się gwałtownie, bo nie chcia-  
łem dać powodu do tak eleganckiego anonisu w dzien-  
nikach sądowych: „Pan Edgar de Meihlan obywatel,  
dopuścił się zbrodni na osobie pani Ludwiki Guerin,  
kolorystce, etc.“ bo czułem najenergiczniejszą chęć  
zaduszenia przedmiotu méj miłości, a gdybym zo-  
stał jeszcze dziesięć minut, byłbym to uczynił.

Uwielbiam, kochany Rogerze, rozsądek z jakim  
postąpiłem, i staraj się mnie naśladować. Szla-  
chetniej to podobno umieć zapanować nad swemi  
namiętnościami, jak dowodzić pułkiem, ale trudniej,  
o sto razy trudniej!

Złość moja nie miała granic, aby z niej ochłonąć  
pojechałem na jakiś czas do Mantes, do Alfreda!  
Otworzyć mi drzwi do rajy i zamknąć je przed no-  
sem, pokazać wspaniałe bankiet i wzbronie zasiąść  
do stołu, obiecać miłość a okazać fałszywą skrom-  
ność, wszak to czyn obrzydliwy, niegodny, a nawet  
niedelikatny.

Trzeba ci wiedzieć, drogi Rogerze, że gdyby nie  
złość, która nadawała mi minę tragiczną, byłbym  
wyglądał jak głupiec, stałbym się dla siebie samego  
śmiesznym.

Takich rzeczy, nie wybacza się kobiecie, Ludwika  
odpowie mi za to!

Gdyby kobieta z mego towarzystwa tak ze mną  
postąpiła, to przysięgam że bym był dla niej bez li-  
tości; ale położenie zależne Ludwiki wstrzymało  
mnie. Mam dla słabych litość, która mnie zgubi,  
bo słabi są bez litości dla silnych.

Biedny Alfred musi to być prawdziwie dobry  
chłopiec, kiedy mnie nie wyrzucił przez okno; tak  
byłem nachmurzony, spreczny, i pełen szyderstwa.  
Dziwię się jak mógł dwie minuty ze mną wytrzy-  
mać; nerwy miałem tak rozdrażnione, że rozbijałem  
końcem méj laski kamienie po drogach, chociaż je-  
stem człowiekiem tak spokojnym, że miśmieniemie  
wyrzucało zabójstwa, nawet na kwiatku! Była chwila,  
w której mi przychodziło na myśl, pójść obsta-  
wać dla siebie katafalk.

Osądź z tego, jak wszystkie moje władze moralne  
i fizyczne były rozprężone.

W końcu, nie chcąc już dłużej nadużywać gościn-  
ności Alfreda, bo czułem że niemogę być innym,  
wróciłem do Richeport, gdzie z całą swobodą mo-  
głem być nieprzyjemnym.

Teraz, drogi Rogerze, robię pauzę. Chcę zyskać  
na czasie, jak mówią aktorzy; bo też i potrzeba jest  
tego. Wiem że czytasz biegle hieroglify i że tłu-  
maczysz na miejscu zagadki sfinxów, a pomimo to  
wszystko nie odgadłbyś nigdy, com znalazł w Ri-  
cheport w pokoju méj matki! Odgaduj, czy to był  
kos biały? gołąb czarny? krokodyl? Nie, jeszcze  
coś niepodobniejszego, coś bajecznie niepodobnego!

— Cóż więc? Powiem ci, bo miliard domysłów  
nie naprowadziłby cię jeszcze do odkrycia prawdy.

Przy oknie, obok méj matki, siedziała młoda ko-  
bieta, schylona nad haftem, wyciągała delikatnie  
igłę z czerwona włóczką. Usłyszawszy mój głos,  
podniosła głowę, a ja poznałem... Ludwikę Guerin!

Na ten widok zupełnie niespodziewany, stanąłem  
na miejscu jak wryty. Zobaczyć Ludwikę Guerin  
spokojnie siedzącą u méj matki, to niemal to samo,  
jakbyś ty, wróciwszy do siebie, jednego poranku za-  
stał Irenę de Chateaudun palącą sygaro. Czy to  
jaki dziwny przypadek, czy jaka kombinacja ma-

chiawelska sprowadziła Ludwikę do Richeport? Do-  
wiem się tego wkrótce.

Szczególny bo też sposób, uciekając od ludzi,  
wkwaterować się do nich! To tylko skromniom  
przychodzą podobne fantazje. W każdym razie,  
rzadka to zuchwałość, w obec mych zamiarów  
uwodziciela. Nie uważałem się za tak patryarchalnego!  
Jednakże na méj głowie jest jeszcze nieco wło-  
sów, i chodzę jeszcze dość dobrze bez pomocy kija.

Ale co mnie zresztą to wszystko obchodzi! Lu-  
dwika jest pod tym samym dachem co ja! Matka  
moja przyjmuje ją, jak osobę sobie równą. I w ist-  
ocie należy jej się to; zdaje się być tu więcej u sie-  
bie jak u pani Taverneau, inna kobieta z jej po-  
łożenia, czułaby się tu żenowaną, ona przeciwnie,  
tu jest swobodniejszą. Przybrała od razu ułożenie  
stosowne, tak że się sam siebie zapytuje, czy to nie  
jest córka jednej z przyjaciółek Pani de Meihlan.

Bo też z właściwym sobie taktem postawiła się  
od razu na równi; tylko kobiety posiadają łatwość  
aklimatyzowania się od razu w sferze wyższej. Mę-  
żczyzna źle wychowany zostaje zawsze gburem.  
Z pierwszej lepszej tancerki, wyrwanej z desek  
opery, fantazja wielkiego pana może od razu zrobić  
wielką damę.

Natura musiała zapewne przewidzieć owe zmiany  
raptowne, dając kobiecie łatwość zastosowania się  
do każdego położenia. Posadź Ludwikę w powozie,  
z herbem hrabiowskim na drzewczkach, a nikt nie  
będzie wątpił że to miejsce dla niej właściwe.

Przemów do niej, odpowie ci jak osoba najświet-  
niej wychowana. Rozwój szczęśliwy kwiatka deli-  
katnego, aklimatyzowanego w ziemi dla niego sto-  
sownej, przebija w całej osobie Ludwiki.

Ja sam jestem z nią jakiś czulszy, delikatniejszy  
jak zwykle.

W Richeport jest mi lepiej jak w Pont-de-l'Arche.  
Na swoim gruncie człowiek najswobodniejszy.

Przybawaj mój przyjacielu, a będziesz świadkiem  
owego turnieju z dworską bronią.

Rajmunda spodziewam się dziś, jutro, jest tu du-  
żo zagadek do rozwiązania, wasze doświadczenie po-  
służy nam do tego.

A zatem do widzenia niedługo.

*Edgar de Meihlan.*

#### LIST XVII.

IRENA DE CHATEAUDUN DO P. VICE-HR. DE BRAIMES.

*Hotel prefektury w Grenoble.*

Richeport, 29 czerwca 18...

Jestem w Richeport u pani de Meihlan!... To cię  
zadziwi... i ja jestem zdziwiona, nie zrozumiesz te-  
go... bo i ja też nie rozumiem.

Jest to prawdą, niezaprzeczoną: jak kto nie umie  
sam rządzić wypadkami, to mu nic lepszego nie po-  
zostaje, jak tymże wypadkom pozwolić się prowa-  
dzić.

Byłam w niedzielę na mszy, w prześlicznym ko-  
ściołku w Pont-de-l'Arche. Jest to ruina cudowna,  
cała z kamiennych koronek, piękna gipsura podarta.  
Jakaś kobieta weszła do kościoła i usiadła przy  
mnie; była to pani de Meihlan poznałam ją, widząc  
ją co niedziela na mszy. Było już późno, msza się  
kończyła, nie chciała zatem przeciskać się do swéj  
ławki. Co do mnie, modliłam się, nie zwracając  
uwagi na nią, ale ona patrzyła na mnie, patrzyła  
sposobem tak dziwnym, że i ja w końcu zaczęłam  
patrzeć na nią.

Uderzyła mnie zmiana jej rysów. Aż tu naraz  
chwyciła się i pada bezprzytomna na ramię pani Ta-  
verneau.

Gromadzą się w koło niej, wynoszą z kościoła  
i ratujemy wszyscy jak możemy. Powietrze orze-  
źwiło ją, przyszła do siebie. Zobaczywszy mnie  
przy sobie zaczęła się mięszać, jednak troskliwość  
moja znacznie ją uspokoiła. Dziękując uprzejmie,  
znów utopiła we mnie spojrzenie w sposób nie-  
zmiernie dla mnie kłopotliwy. Proszę by poszła  
odpocząć do pani Taverneau, i prowadzę ją tamże.  
Tu pani de Meihlan opowiada, że przyszła z Riche-  
port piechotą, pomimo ogromnego upału, bo jej syn

odjechał rano raptownie, bez uprzedzenia o tem,  
i zabrał z sobą woźnicę i konie.

Opowiadając to, patrzyła na mnie dziwnym wzro-  
kiem jakby badawczym, ale zniósłam to spojrzenie  
bez najmniejszego pomieszania. Trzeba ci wie-  
dzieć, że wilją tego dnia, pan de Meihlan przyszedł  
mnie odwiedzić; pani Taverneau wraz z mężem  
wyszła z domu. Niebezpieczeństwo położenia na-  
tehnęło mnie; przybrałam ton okrutnie lodowaty,  
całą wyniosłość godności na jaką się tylko zdobyć  
mogłam, tak że wielki poeta zrozumiał nareście, że  
tu są lody nie do przebycia.

Odszedł wściekły i zrozpaczony, ale oddając mu  
sprawiedliwość, powiem: więcej zrozpaczony jak roz-  
gniewany.

To smartwienie oczywiste dało mi dużo do my-  
ślenia. Jeżeli mnie kocha prawdziwie, mówiłam  
sobie, moje postępowanie nie jest bez winy, byłam  
za nadto zalotną, a on nie może odgadnąć że ta za-  
lotność była wybiegiem, że udając zajęcie się nim  
tylko, byłam zajęta zupełnie innym. Każda miłość  
prawdziwa jest godną szacunku; nikt nie jest zmu-  
szony podzielać ją, ale każdy jest obowiązany  
oszczędzać jej przykrości.

Niespokojność pani de Meihlan, zbliżenie się do  
mnie — bo domyślałam się że spóźniła się na mszę  
tylko dla tego, aby móżdź zbliżyć się do mnie, zna-  
leż sposobność mówienia i poznania się ze mną,  
niespokojność téj czulej matki, upewniła mnie wię-  
cej o szczerości uczuć syna, niż wszystkie oświad-  
czenia miłosne, jakimi by tenże do mnie przez ciąg  
lat kilku przemawiał.

Niespokojność matki, to symptomat nieodwołany,  
jest on więcej znaczący od wszystkich innych; za-  
zdrosć rywalki to wskazówka mniej pewna.

Miłość obrażona może się mylić; przecucie matki  
nie myli się nigdy.

A zatem, jeżeli kobieta tak rozumna i szlachetna,  
jak pani de Meihlan, przyszła do mnie drżąca,  
wzruszona, jak ja widziałam w téj chwili, to pewno...  
mówię ci to bez próżności, jej syn stracił głowę,  
a ona chciała wszelkimi sposobami, wyleczyć lub  
przytłumić ową fatalną miłość, co go czyniła tak  
nieszczęśliwym.

Kiedy się zabierała do powrotu, prosiłam by mi  
pozwoliła towarzyszyć sobie do Richeport, gdyż by-  
ła jeszcze za nadto cierpiąca, by mogła iść sama  
tak daleko? Przez drogę mówiłyśmy o rzeczach  
obojętnych; powoli jej niespokojność zniknęła, ta roz-  
mowa zdejmowała z jej serca ciężar okropny.

Zdawało się, że mimo jej woli prawda przema-  
wiała do niej, w sposobie obejścia się z nią, w tonie  
głosu i grzeczności pełnej szacunku, niepodobnej  
zupełnie do służebniczego poniżenia się pani Taver-  
neau. Jej bowiem grzeczność pokorna, była cią-  
głem uznaniem niższości przed wyższością, a moja  
była niczem więcej tylko względnością młodej ko-  
biety, dla matki rodziny. Po tych odcieniach, nie  
nieznaczących dla wszystkich, pani de Meihlan  
wprawnym rzutem oka odgadła, że byłam jej równą  
stanem, wychowaniem i szlachectwem duszy.

Nie wiedziała o tem ale przeczuwała. Po téj pew-  
ności zostawała jedna jeszcze wątpliwość bardzo waż-  
na: dla czego jestem stracona z mego stanowiska?  
czy nieszczęściem, czy winą? O to zapytywała sama  
siebie.

Znałam już nieco, jej zamiary na przyszłość, jej  
dumę macierzyńską, to też wiedziałam który z owych  
domysłów więcej ją niepokoił. Jeżeli jestem kobie-  
tą lekką, jak to myślała chwilami, nie było wielkiego  
niebezpieczeństwa, wszystko to skończy się na miłost-  
ce chwilowej; jeżeli zaś przeciwnie, jeżeli jestem ko-  
bietą uczciwą, co także przypuszczała czasami, przy-  
szłość jej syna była zgubioną, i drżała myśląc o na-  
stępstwach téj niebezpiecznej namiętności. Czyta-  
łam na jej twarzy, jaką pracę odbywała głowa, i to  
mnie bardzo bawiło. Droga prowadząca do Riche-  
port jest prześliczna, unosiłam się ciągle nad piękno-  
ścią okolicy. Uśmiechała się wtedy. „Dobrze! my-  
ślała sobie, to artystka, awanturka: jestem ocalona.

Będzie kochanką Edgara całą zimę, i ten zostanie  
dla niej w Richeport! Cierpiała bowiem nad tem  
niewymownie, że nie może przepędzać zimy razem  
z synem w Paryżu, ale fundusze nie pozwalają jej na  
to, a nie mogła się przyzwyczaić być bez niego kilka



miesiący. O kilka kroków od zamku zatrzymałam się, by popatrzeć na gromadkę pięknych dzieci, które męczyły i goniły biednego osła zamkniętego na wyspie. Był to obraz zabawny i bardzo zajmujący. Ta wyspa należała dawniej do majątku Richeport, mówiła pani de Meihlan, również jak i te łąki które widzisz na około; chciałabym to wszystko kiedyś odkupić, ale to nie może inaczej nastąpić, tylko przez ożenienie Edgara z jaką bogatą dziedziczką. Te słowa zmieszały mnie; pani de Meihlan była także widocznie zakłopotana. O nieszczęście! myślała sobie, zapewne to uczciwa kobieta, jestem zgubiona, będzie żądała by się z nią ożenił... I zaraz stała się dla mnie nieco obojętniejszą, a ja powtarzałam sobie w duchu: Jak to miło podchwytywać życzenia drugich i mieć moc spełnienia tychże! Odemnie tylko należy by ta kobieta miała nietylko tę wyspę i łąki których sobie tak życzy, ale i tę żyzną dolinę, te łąki, i wszystko co jest wokoło. Oh! jakże to błogo być na tej ziemi małą opatrnością, przenikać życzenia tajemnie drugich, by je zaraz urzeczywistniać. Walentyno to mnie nęci, to niebezpieczne dla mnie, czuję się zdolną powiedzieć tej szlachetnej zrujnowanej kobiecie: Oto masz lasy, łąki, wyspy, których tak czule żałujesz. Jestem również chętną powiedzieć temu młodemu poecie zropaczonemu: kobieta którą kochasz szalenie, będzie twoją, ożenisz się z nią i będziesz szczęśliwym... bez zastanowienia się, że tą kobietą jestem ja, i czy to szczęście jakie mu obiecuje, będzie i mojem. Wspaniołomyślność ma dla mnie urok niebezpieczny! Wielką bym miała ochotę z bogacić szlachetnego poetę!

Jakże to przyjemnie wynagrodzić świetną przyszłością tego, co mnie wybrał i kochał pod tak smutnymi warunkami.

Ale na to wszystko trzeba by miłości, a moje serce złodowaciałe i złamane! A potem pan de Meihlan, ma charakter oryginalny, a ja toleruję tylko rozumy oryginalne. Trzyma konia w pokoju, wszak to pomysły zupełnie nowy; ale zdaje mi się że koniom najlepiej i najwygodniej w stajniach. Poeci nie są to istoty wcale poetyczne, moja droga. Edgar stał się romantycznym od czasu jak mnie kocha, ale ja myślę że to hypokryzja i nie ufam jego miłości. Edgar jest bez zaprzeczenia człowiekiem wyższym, talentu znakomitego, może nawet zająć, zachwycić, czego dała dowód markiza de R... ale ja nie znajduję w jego miłości owego idealizmu o jakim marzę.

Nie zachwyci go spojrzenie, tylko kształt powiek i blask źrenicy—ani wdzięk uśmiechu tylko różowe wargi; jednym słowem piękność duszy jest niczem dla niego. Miłość zatem którą jedno moje słowo może rozwinąć, przeraża mnie jak uczucie zbrodnicze, miesza mnie i niepokoi. Wydam ci się pewno śmieszna, ale ten namiętny poeta przypomina mi kobiety: oryginalne, pełne żywój wyobraźni i rozumu jakiej każdy mężczyzna chciałby mieć kochanką a nigdy żoną. Niema on owój powagi tak potrzebnej w mężu, jego wyobrażenia są zupełnie różne z memi, a ta różnica poglądów byłaby powodem ciągłych rozpraw, lub ustępstw wzajemnych, coby było jeszcze smutniej. Jednakże wszyscy uwielbiają owego cudownego Edgara: nazywam go Edgarem, gdyż pod tą nazwą słyszę jak go tu cały dzień błogosławia, chciałabym go także kochać. Zdziwił się bardzo zobaczywszy mnie wczoraj u swjej matki, bo od mej pierwszej wizyty w Richeport, pani de Meihlan żąda bym ją codziennie odwiedzała, i co rano wynajdywała inny powód aby mnie ściągnąć do siebie.

To jakiś deseń do przerysowania, to do zdjęcia, to co nowego do przeczytania, słowem w pomysłach okazała się niewyczerpana. Jednego wieczora deszcz lał okropny, zatrzymała mnie w zamku, a teraz nie chce puścić przed swemi imieninami, które za dni kilka przypadają. Bada mnie i szpieguje z cudowną zręcznością; pani Taverneau była także badana, a niema Blanchard przeszła tortury. Pani Taverneau wyznała że mnie zna od trzech lat, że przez cały ten czas opiekuję Alberta Guérin, i że to był bardzo poczciwy młody człowiek. Dobra Blanchard którą tu wraz ze mną pomieścili, ogranicza się na odpowiedzi, że moja wartość jest większa jak pani

de Meihlan i całej jej rodziny. Badają mnie, ale i ja badam. Mogę bezpiecznie zostać w Richeport, Edgar szanuję swą matkę, a ona czuwa nademną. Wrazie potrzeby powiem jej wszystko.

Wspomina czasem przychylnie pannę de Chateaudun, broni mnie... Jakżem się dziś rano serdecznie uśmieła, ale w duchu! Dowiedziałam się że pan de Monbert, odniósł się do policji dla wyszukania mnie, a policja posłała go dla spotkania się ze mną do Burgandji.

Zkąd im mogło przyjść na myśl, że tam jestem? U kogo mnie będzie szukał? kogo zamiast mnie znajdzie? A może i ja tam będę niedługo, jeżeli moja kuzynka pojedzie przez Mazon. Ale ona wyjedzie dopiero w przyszłym tygodniu. Jakżebym rada cię zobaczył! Nie jedź do Genewy bezemnie.

Irena de Chateaudun.  
(d. c. n.)

### Korespondencja z Paryża.

Paryż zajmuje się w tej chwili starcem, który od dwóch miesięcy śpi bez przerwy w szpitalu Bicetre. Sen jego zupełnie spokojny, cera zdrowa, zdaje się nawet jakby nabrał tuszy od chwili uspienia, mimo że nie przyjmuje żadnego posiłku. Oddech jego cichy i regularny ale słaby, puls bije pomaleńku. Niepodobna go wyprowadzić żadnymi środkami z tego stanu tak niezwykłego.

Lekarze utrzymują że podobny stan trwa niekiedy przez kilka miesięcy; w każdym razie jest to fenomenalne zjawisko. Sen jakiemu ulega wspomniany starzec, nie jest zwyczajnym letargiem, przypomina raczej charakterem swoim sen niektórych zwierząt: niedźwiedzi, żółwi i t. p. Ciekawa rzecz czy wiosna oddziała na starca w taki sam sposób, w jaki oddziaływa na powyższe istoty czworonożne.

Ktokolwiek raz uległ tej chorobie, nabiera do niej szczególnej skłonności. Podobny sen jak utrzymują lekarze, zwykł się powtarzać kilkakrotnie u osób które raz już go doświadczyły.

Większym jeszcze powodem zdziwienia w Paryżu, jest starzec, który z powodu złamania nogi w roku zeszłym, dostał się do Paryżkiego szpitala de la Pitié. Jest nim dawny półkownik urodzony w r. 1764. Odbywał wszystkie kampanie za czasów Cesarstwa. Bił się we Włoszech, Niemczech i Hiszpanji. Był w ogniu pod Marengo, pod Wagram, pod Jeną, Frydlandem i t. p. Zaszczycony jest orderem legii, honorowej i medalem Św. Heleny.

Wojak ten zachował zupełną przytomność umysłu, rozповіда chętnie o bitwach w których brał czynny udział. Cichy i spokojny starzec, ograniczał się na maleńkiem kółku znajomych, mało też kto i wiedział o nim. Dawni towarzysze broni powymierali po jednym.

Ma on przy sobie wywód urodzenia i służbowe papiery. Nie ulega zatem wątpliwości, że zaczął 105 rok życia.

Towarzystwo weteranów francuzkich wyprawilo w tych dniach deputację, w celu oświadczenia czci swjej dla najstarszego z pomiędzy szczątków wielkiej armji. Odkąd się rzecz rozgłosiła, tłumy odwiedzają starca, który przyjmuje najchętniej od wiedziny. Zdrowie jego zupełnie dobre; postać krzepka i piękna, nie wygląda wyżej jak na lat siedemdziesiąt. Łóżko ma zawsze otoczone bukietami świeżych kwiatów. Zdaje się że starzec nie powstanie już nigdy, w skutek wypadku jaki go spotkał. Siły jego nic jednak na tem nie ucierpiały.

### WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

— *Biblioteki pożytecznej i taniiej prac popularno naukowych* wyszedł zeszyt pierwszy, obejmujący początek dzieła: *Praca kobiet* czyli zakres ich działalności praktycznie okazany w przeszło 600 zawodach i powołaniach, podług dzieła amerykańskiego p. Wirginii Penny, obróbnego przez A. Daula,

a przełożonego i uzupełnionego staraniem Redakcji Przeglądu Tygodniowego. Zawiera on: Przedmowę i wstęp. — Do gospodyń — Maszyny gospodarskie — Stowarzyszenia w celu kształcenia służących. Służące w ogólności — Domy służących — Służące do wszystkiego — Młodsze czyli pokojówki — Wyrobnice czyli postugaczki — Pracunki — Kucharki — Piastunki — Mamki — Gospodynie — Bony — Panny służące — Damy do towarzystwa — Biura informacyjne — Assystencja w publicznych i prywatnych zakładach dobroczynnych — Dozorcynie chorych — Postugaczki w kąpielach — Stawianie baniek i pijawek — Golenie brody — Pracunki — Mechaniczne przyrządy do prania — Krochmalenie — Maglowanie — Prasowanie. Cena zeszytu kop. 20. Prenumerata na 10 zeszytów rs. 2. Lista prenumeratorów ogłoszona będzie. Adresować należy: Do redakcji Przeglądu Tygodniowego, ulica Nowolipie N. 2414/15.

Na zamówienie Redakcja obowiązuje się dostarczać, w miarę wychodzenia zeszytów, do domów tak jak pismo.

### Doniesienia literackie.

Przyjaciela Dzieci N. 65 obejmuje: — Karolek z ryćciną. — Wspomnienie historyczne o rzece Cydnus. — Mosty wiszące w Peru, z dwoma rycinami. — Stryjaszek z Ameryki, powieść Wołodego Skiby. — Dawne przysłowia i przypowieści. — Rozmaitości. — Kotek, bajka. Do tego numeru dołączono tablice litograficzną z krojami dla lalek i robótkami ręcznymi. — W dalszem wydawnictwie tego pisma, dołączane powieści będą większych rozmiarów w oddzielnym dodatku.

### Symbolika kwiatów i roślin.

*Passiflora* (Fleur de passion ou Grenadille, *Passiflora coerulea* i *incarnata*), po polsku przeważnie nazywają *męczennicą*, a to dla tego, że kwiat jej niby narzędzia męki Pańskiej naśladuje. Amerykańska ta roślina, po raz pierwszy opisaną została w końcu XVI wieku, a najwięcej do rozpowszechnienia wiadomości o jej dziwnym kwiecie, przyczynił się J. B. Ferrari, swem dziełem (De florum cultura), wydanem w r. 1633. Tam to mówi on: „Kwiat *passiflory* będzie dziwem po wszystkie czasy, w nim Stwórca własną ręką utworzył oznaki męki Syna swego. Kielich bowiem zewnętrzny w tym kwiecie, przedłuża się w ciernie i przypomina koronę cierniową; niewinność Zbawiciela świata, uwydatnia biała barwa kwiatu, a postrzępiony przykoronek kwiatowy, to niby podarta szata Chrystusa. W środku kwiatu znajdujący się słupek, przywodzi na pamięć słupek kamienny, do którego Chrystusa przywiązywano, a na słupku mieszczący się zawiązek, jest to jakby gąbka w żółci i oocie namaczana i trzy znamiona zawiązka są gwoździami, 5 pręcików przypominają 5 ran, 3 łateczkowe liście włócznią, wreszcie przydatki łodyżki, za pomocą których ta roślina czepia się innych przedmiotów, przedstawiają dyscypliny. Tylko jeszcze krzyża brak, ale to też łagodna przyroda nie mogła się zdobyć na ten szczyt męki, jaką ludzkie Bogu człowiekowi zadali.“

W każdym razie ciekawa to budowa tego kwiatu, i gdyby przyszło wyrobić go na kanwie z jakiego dobrze odmalowanego wzoru, mógłby się stać prawdziwą ozdobą.

Dziś *passiflora* hoduje się wszędzie po naszych cieplarniach, i to w mnogich gatunkach, oraz odmianach ogrodniczych, bo sprawia rzeczywiście piękny widok, kiedy się okryje licznymi kwiatami. Kwiaty te ukazują się od maja do października, w przeróżnych kolorach; są otwarte od 10 lub 11 godziny przed południem, do zachodu słońca; później stulają się najzupełniej. Okazy tej rośliny w mieszkaniach naszych utrzymywane, prawie nigdy nie kwitną, bo nie mają najczęściej dosyć miejsca i światła do rozrastania się, a *passiflory* jako rośliny wijące się, drzewne, właśnie tego potrzebują. Kwiat *passiflory* zwany dawniej *flos passionis* (od *passio* męka, i *flos* kwiat), jest wielkości dłoni, płaski, z listeczkami gwiazdowato roztoczonemi, w którego środku w kształcie promieni, rozciągają się inne wazniuchne listeczki.